Wincenty Burek

Strajk

Reportaż wielski

Zażywna jesień wyszła se na spacer i chodzi po świecie. Zajrzała do wsioskich zapłoci i jest rada, że tyle chleba rozpycha się po stodołach i po stertach obtężnich. Ucieszyła się z gadziny mnogiej i spaśnej. Wylazła wesoło spośród podokoli, żeby się popatrzeć na pola nagrzane, pulchne, zawszeć jeszcze strojne. Rozwlóczą się pola w migocie słonka, co zagląda popod każdą bryłkę i wygania na wierzch cienkie piórka posiewu. Posiew najeżył się jak szczota, wiater z zachodu całuje ruń, wiater szeleści w zeschłych badylach ziemniaków. W całem okolu roznosi się spokój, i dosyt, i nadzieja uciesznа. Świat się rozdziawił jaryni śmiechem. Swoje zrobił, plonów nasporzył, każde stworzenie zachyłek na ciężki czas ma — to i co? To się ino weselić, człowieku, ostatkiem ciepłych dni, prześnym zapachem zruszonej ziemi, zwaleniem z barków najtwardszej roboty. Radować się w rozhuku chłopskiej fantazji — i więcej nic! Więcej nic...

A przecie radość chłopska nie chadza pod pachę z sytną jesienią. Radość nie przegląda z chłopskiej gęby. Niema jej tu, schowała się kajsić, że ani jej odszukać. Radość uszła chyłkiem, a na jej miejsce wylazł frasunek, zgłoba, osowiała mina wszystkiego wsioskiego pogłowia. Przepadła bujna radość, odleciała ptakiem. Żeby już widać nie powrócić w opłocia zaciszne.

Od chałupy do chałupy rozsnuwają się coraz żałośniejsze wieści. Podają je sobie ludziska w zgryzocie i smutku. Dzielą się pospołu skwitłym chlebem nowiny. Społecznie łatwiej przecie przenieść ugniot złego czasu. I ulżyć se ogadaniem w gromadzie. Ano i klątwą i zemstą. I tą myślą szukaną dla odporu. Myślą hardą i twardą. Jak ta dola — twardą.

— Za psi piniodz oddać musis, coś za rok upracował! — przewija się ten żal po drogach i chałupach. — Beleco wortos, chłopie, i ten twój sofuł na polu i w oborze.

— Nikt o ciebie nie stoi, choć ta wszyćko pono na tobie się opiro.

— Juściże, juści. Siejes dobro, a krzywde zbiros.

— Na jarmaku krzywda.

— Na podotku krzywda.

— Kumorniki, zokucniki krzywdzą.

— Kroku nie postawis, żeby ci naprzeciw nie wysła ta krzywda.

— A cy to nima rady? Nima sposobu?

— Byłby sposób, nalazłaby się rada, ino żeby...

— Żeby co?

— Żeby sie tak wziąć narazem.

— A to sie brać. To sie bronić i sie nie dać!

— No to walaj! Nima to u nos siły, cy jak?...

Po zaplociach chodzą chmurne głosy, zmawiają się w naradzie, pomrukują groźbą. Pobrużdżone twarze skrzepiły się na hart od upartych myśli, co się rozkołowały w chłopskim świecie, zalazły tu głęboko i teraz chcą kiełkować. I plonować skutecznie. Pożytek przynieść. A pokazać kaj potrza, co chłopska myśl zmajstruje, jak zechce.

Poniedziałkowy dzień supłał się niemrawo, jakby się walkonił po niedzielnem wypoczywaniu. Słońce gramoliło się po czystej niebieskiej powale i sypało cieplawą treścią wsioskie okole. Jesienny przelysk leżał powszędy, nieruchawy i blady. Leżał w pogodzie, do wygody.

Dzień zrobił się duży, słonie wspięło się na walną wysoczyznę, ale na wsi nie widać zwyczajnego rozruchu i krzątaniny. Pola stoją opuszczone, choć role wołają o podorywki, tu i ówdzie jeszcze są ziemniaki do kopania, a tam buraki odkrywają się spośród radlonek. Po polnych drożynach nie ciągnie się nikt, chyba ino te krowy wzbijają kurz i drepcą na pasionkę w mglistym obłoku. Wedle wsi leci gościniec, niezgorszy trakt na okolice. I ten gościniec zamarł dzisiaj, nie turkocą po nim wozy, nie roją się nieskończonym sznurem w tamtą stronę, ku miastu. Zmartwiała wieś, pola. Martwota chodzi po drogach, po gościńcach.

A przecie dzisiaj jarmark w Sandomierzu, odwieczny targ przy poniedziałku. Jak wieś wsią — zawsze o tym czasie ciągnął się chłopski naród z najdalszego okola, jechał furmankami po miastowe sprawunki. W latrach, wasągach, półkoszkach wypuczały się obgrubnie wory zboża na sprzedaż, gospodynie prymiły się kopiasto i werenowały na podołach koszyki z jajami, masłem, serem, a w fałdach spódnic krzekorzyły powiązane kwoki i kogutki. Zawsze o tym czasie szedł ściąg zewsząd, walila chłopska procesja furmanek, buczały drogi, zapełniały się rynki miasta, ulice i uliczki, place i targowiska. Zawsze i bez odmiany tłoczyły się tam kaszkiety i kwieciste chustki, zapełniały sklepy, zalewały każdy kusiołeczek miastowej przestrzeni, szumiały i huczały rozgwarem głosów, przyjacielskich gadek, sporów i przetargów. Aż kipiało śród murów, aż rozdymało miejską ciasnotę. Wieś przychodziła do miasta po interesie.

Dzisiaj wieś do miasta pójść nie poszła.

— Chłopski strejk!...

Nie znali tu tego słowa i sposobu, co się w tem słowie pomieszcza. Nie znali, bo i znać nie było potrza. Różne ta nachodziły czasy na wieś, złe i dobre, jak to w chłopskiej doli, ale na taki uklad i manier nigdy - przenigdy zdarzyć się nie zdarzyło. W chorym śnie się nie przyśniwało. Krótkim pomyślunkiem w głowie nie pobyło. Aż dopiero teraz...

Zły czas, krzywdy i niedole pospólne narodziły tę jedną wolę. Żeby się oprzeć i pokazać, co umiemy. Jankurny naród wsiowy, tyle skłócony i rzadko zgodny na jedno, tutaj potrafił pójść w foremnej zgodzie i jedności. Że niech przepadnie chód w pojedynkę, a niechże nastanie społeczny marsz wielką gromadą. Do gromadzkiego celu. Dla gromadzkiego dobra. Tak i nie inak!

— Ani ziorka do miasta!

— Ani krokiem stąpnąć na mieście!

— Znojdzie się Judos — nie puścić!

— Z drogi prześcigać!

— Strejk!

— Rolny chłopski strejk!...

•

Na Ociinku to samo. Tosamo co na Wysiadiowie, na Radoszkach, w Dobrocicach, na całej tej sandomierskiej rozciągłości, poutykanej różańcami żagród, ugniecionej depustami bidy niezgonionej. Tensam dech wieje ponad wsiami i napełnia dusze nieugiętą hardością i oporem na prawo zwyczaju i namolnej potrzeby. Obejdzie się pańskie wesele! Zobaczymy, kto wytrzyma i kto się bez kogo obejdzie. My dzisiaj wytrzymamy! Będzie zamało, to się jeszcze poprawi. A nie raz się poprawi, a nie dwa!

Niedzielne popołudnie zeszło na naradzie. Kiedyindziej trudno byłoby zebrać do kupy wszystkich Ociniaków, dzisiaj pozlaziła się ich pod sołtysa cała hurma. Starych i młodych. Przyjaciół i wrogów zabitych. Przeczytali to pismo od chłopskiej władzy w tych stronach, każdy poczuł, że na lepiej ono kieruje, rozebrali pospólnie ten pisany skład, obgadali, rozejrzeli akuratnie i:

— Stajemy za drugiemy!

— Zawroz gromadą!

— Jednem duchem!

Ano to w poniedziałek zabaczyła wieś, że to poniedziałek. To nic, że przydałoby się to i owo sprawić tanioj w mieście. Że i jaki gałach zdałby się na grzbiet, i w kuchniach pozabrakło tego gasu, soli czy mydła. Nie będzie machory, to nie będzie. Nie kupi się omasty, to i mlekiem się warzę ozykoli — i już. Chłop więcej przetrzymał, to i tym niedogodom zradzić zradzi. Od tego chłop!

Robota stojąca nie ciągnie, bo przecie nie pili. Robota w polu nie ucieknie, a teraz potrza popatrzeć, jakto wieś wygląda w czasie, jakiego tu dotąd nie widywali. Czy kto się aby nie oderwie, nie osłabnie, nie spróbuje chyłeczkiem się wywinąć z obejścia naprzekór tym inszym, nieugiętym. Niewiadomo, jak i skąd wylazi milkliwa nieufność, budzi się czujna ostrożność do ludzi. Mogli się wczoraj zaprzysięgać a zaklinać, że się nie odrzekną od strajku, ale dzisiaj nowy dzień, a z nowym dniem — insze stanowienie. Człowiek — to człowiek, słaby ułomny człowiek, harpeżny na zysk, na zdobycz. Kto wie?...

Nikt się przecie nie odlupywał od zwartej jak skała gromady. Przemijała późna godzina koło południa, wlókł się nieskory czas w wyczekiwaniu na coś, co może się jeszcze zdarzyć. Chłopy i parobczaki snuli się gromadami po drodze, rozprawiali chybko i z rozmachem o dniu tym. Tak ważnym, tak niebywałym.

— Strejk sie udoł. W mieście nima zywy dusy. Pies z kulawą nogą cheba się tam zabłąkoł — polatywało od gromady do gromady. Na gębach błyskotała uciecha i twarda okamieniała moc.

Pomału zaczęli się rozchodzić po obejściach. Swoje zrobili, czasu mitrężyć żal. Do roboty na przedobiedzia iść trza.

Raptem zadudniły koła. Suchy trajkot rozklekotał się na drodze zaraz za wsią. Ktoś wdyrdy gnał szkapska, jakby mu gdzieś było strasznie pilno.

Ten i ów poskoczył za stodołę, żeby popatrzeć, komu się tak śpieszy. I wnet przeraźliwe krzyki rozleciały się po wsi:

— Stasiok Siajniaguła jedzie!

— Po miasta pedzi dowyrypi

— Trzymać!...

A tam na drodze już się zaczęła gonitwa. Skoro ino z obory wyjechał już go poczuli sąsiedzi i wypadli za furmanką z rozwrzaskiem. Stasiok lał koniom bata po bacie, trząsł lejcami, z siedzenia omału nie wyskakiwał w warjackiej jeździe. Tamci stylu pośpieszali na piechtę, ile sił w nogach, tyrtolili się zziajani i, nie mogąc dopaść do furmanki, wydzierali się w biegu:

— Łapaj! Na pomoc!...

Już ode wsi gnały hurmy chłopstwa. Ktoś dopadł szkapiny i naoklep rwał z kopyta. Pościg szedł długą linją. Ku przodowi uciekał Stasiok, konie gnały jak hamany, z pysków bryzgały im płachetki piany.

— Zabiegaj!

Walnie już się odbił od pościgu. Oglądał się coraz i widział, że tamci ostali daleko wtyle. Jeszcze ten zakręt ino — i droga prosta i równa.

Ten zakręt stanął Stasiokowi na zdradzie. Zakręt rozwinął się w głębokim wąwozie, wąwozem akurat szło bydło z pola, i zaczem Stasiok podjechał do wylotu, a już tam wpoprzek stał Wielki Franuś na szkapsku. Naprzełaj dobiegało paru chybkich parobczaków. Krzyki leciały nad głową furmana.

— Stój, dryniu — zadarł się Wielgi Franuś i grodził drogę chabetą. — Nie wyskwinies sie, ty Siajniaguło harpeżny!

Stasiek grzmocił zganiane konie grubszym końcem biczyska, ale gady już nie spotrafiły wydolić. Pobok Wielkiego Franusia zaroiło się od parobczaków. Stach Tworogoscyk leciał na Stasioka i ułapił go za skrzyl. Stasiok gibnął się zniebaczku i bach nął w półkoszek. Konie szarpnięte lejcami — stanęły.

Stasiok zerwał się i do kłonicy. Ale ręce nie zdążyły wyszarpnąć tęgiego drewna. Hurma zwaliła się na chłopa.

— A wy, cholery zbóje! Puśćta! Poszoł ode mnie — piszczał zduszony Stasiok pod kuksańcami. Okładali go garściami gdzie popadło. Wyzwiska i ciężkie klątwy długo się tłukły u wyblegu wąwozu...

L. Całkosińska

Na marginesie „Londres“ Morand'a

O Cicerone! Dlaczego te właśnie słowa nasuwają mi się po przeczytaniu niezrównanego „Londres“ Moranda? Po tej wędrówce przez historję miasta, jego gmachów, dzielnic i parków, przez których sylwetę autor nkazuje nam oblicze człowieka-twórcy? O Cicerone! Dlaczego po zamknięciu książki doznaję żałosnego uczucia nietrwałości świata? Kiedyś będzie mi dane poznać Londyn — lecz zapewne już nie ten, któremu Morand śpiewa swój hymn pochwalny [1]). Czy hymn? Nie jestże to raczej pożegnalne epitafium?

„Londyn jest rezultatem kompromisu pomiędzy ziemią i wodą, Germanami i Latynami, państwem i jednostką, niespodzianką i zwyczajem, słońcem i mgłą".

Diderot widział w Londynie stolicę cnoty i rozsądku, dziś my kochamy go za to, że jest miastem illogizmu i wyjątkowych rzeczy. „Muzeum anomalji", mawiał Emerson. Pięknością Londynu jest jego naturalność; wszystko, — nawet nadzwyczajność —jest w nim proste... Dla naszych ojców był miastem lubieżności i prostackich apetytów, miastem pozbawionem polotu. I rzeczywiście opada ciężko ku ziemi, — ale duszę ma. Jego niskie domy nie przysłaniają nieba. Wydaje matowy, lecz pełny dźwięk; barwy są stłumione, lecz subtelne. „Wznosi się pełen przepychu i mgieł"... pisze wspaniale Vigny. Miasto, w któremi Blake wywoływał Szatana, Milton opiewał Raj, gdzie Gainsborough malował najczystsze twarze, Hogarth czytał w sercach. Chateaubriand i Voltaire poczuli drganie swego geniuszu, gdzie Ludwik - Napoleon marzył o posągu współczesnej Europy. Verlaine płakał, gdzie Sheridan, Wilde i Shaw palili swe fajerwerki, miasto karmiące ongiś wszystkie dzieła Szekspira, mozesz być pozbawione polotu duszy?

Londyn jest antytezą Paryża.

Paryż to barykady, — Londyn, to ustrój społeczny, Londyn opływa wodą, Paryż krwią. — krwią Armagnaców, — Bourguignonów, Hugenotów i Frondy, arystokratów 93 r.—robotników 48 — wersalczyków, komunardów, apaszów i dramatów miłosnych. Paryż to szynk, Londyn — klub. Paryż to konsjerżka, — Londyn to klucz w drzwiach. W Londynie rzeczy są piękne dzięki ludziom, w Paryżu pomimo nich. Paryż to nieufność, Londyn to kredyt. Paryż to Rozum rezonujący i Ludzkość, — Londyn Hazard i Wszechświat. Światła obu tych miast nigdy nie zleją się w jedno".

Tak mówi Morand, żegnając swą londyńską młodość i stolicę Anglji, zagrożoną: inwazją Europy, ostrą ciekawością stałego lądu, wydobywającego tę staroświecką, przydymioną perłę z ukrycia, jakiem było jej naturalne położenie. I to momento Moranda przypada właśnie na okres, w którym artystyczna l'entente cordiale obu narodów zdaje się rokować trwałą przyjaźń. Właśnie teraz, gdy artystyczny świat Francji otworzył entuzjastycznie ramiona na przyjęcie nowego, wynurzającego się z fal cieśniny Kaledońskiej — niby Venus — syna Albjonu.

Mówię nowego, bo przecież to już wiek bezmała, jak Anglja i Francja na mocy tajnego porozumienia pomijają w literaturze obustronnem milczeniem swoje istnienie. Dwie tylko istoty użyskały prawo wjazdu i wędrówek poprzez karty romansów i nadużywały przez lat dziesiątki tego przywileju. Ona: frywolna aktoreczka francuska, rujnująca szczęście rodzinne jasnowłosych ladies (czasem pozostawiała w spadku dziecko nieznanego pochodzenia, które mimo dobroczynnej atmosfery wyrastało na zalotną, płytką kokietkę). On: flegmatyczny Anglik (zdobny w parę rudych bokobrodów), uzbrojony w lornetkę, synonim tępej brzydoty. Nie pomogły tu nieliczne głosy, domagające się rehabilitacji Anglji, nie pomogły niepewne perswazje Taine'a, który mówi, że „wyniosła pycha i zarozumiała nietowarzyskość kryją niekiedy dobre i tkliwe serce; jest to angielska maska na głowie(!) Niemca..." ani wysiłki P. de Coulevain chwalącego lojalność, cnoty i home angielski. I trzeba było dopiero odgłosu wielkiej wojny, melodji Tipperary i maszerujących w jej takt pułków angielskich, trzeba było ich ofiar, złożonych na polach Flandrji, by razem z widmem Waterloo i Św. Heleny zmiły te dwa żałosne upiory przedwojennej literatury.

Obywatel francuski odkrył naraz w towarzyszu broni Anglika i temu doniosłemu faktowi dał wyraz Maurois w swych kapitalnych szkicach „Les silences du Colonel Bramble" oraz „Les discours du docteur O'Grady". Historja trzech muszkieterów (a było ich czterech) highlanderskiego pułku: płk. Bramble, mjr. Parkera, dr. O' Grady i Padre Mac Iyor'a przejdzie kiedyś do historji nietyle dzięki humorowi i anegdotom, ile dzięki znakomitej „żywotności" sylwetek członków oficerskiego mess. Pamiętacie państwo to „mise en scène"...?

„Uprzątnijcie stół — rozkazał dyżurnym pułkownik Bramble — dajcie nam rumu, cukru, cytryn i miejcie stale w pogotowiu wrzącą wodę. A powiedźcie ordynansowi, by przyniósł skrzynkę z płytami.

Messieu — zwrócił się do Aurelle'a — Co pan chce usłyszeć — Bing - Boys, Destiny - Waltz czy Caruso? Co do mnie tęsknię do głosu drogiej Mistress Finci — Magrini.

...Z winy Huna — wojna przestała być grą gentlemena — rzekł smutno pułkownik.

— Nigdyśmy sobie nie wyobrażali, że mogą istnieć podobne ciury. Bombardować bezbronne miasta! To równie niedopuszczalne, jak łowić pstrąga na robaka, lub zabić lisa wystrzałem z fuzji — dorzucił major.

— Nie należy przesadzać Parkerze — przerwał zimno pułkownik.—Tak daleko oni jeszcze nie zaszli".

Jakże pouczająco są te błyskotliwe, pełne humoru opowiadania, w których komizm sytuacji polega na konflikcie dwu ras, dwu kultur, dwu odmiennych sposobów rozumowania. Nie byłby bowiem sobą Francuz, gdyby nie dostrzegł, nawet w najpoważniejszych momentach, strony humorystycznej. Może ujść jego uwadze dowcip John Bulla i vis comica „Klubu Piekwicka", tak jak w Anglji mija niedostrzeżona pointa Maupassanta. Ale komizm kontrastów staje się polem do nielada popisu. Z tego punktu widzenia, zarówno obie powieści Maurois, jak notatki z podróży Croisset'a [2]), należą do najdowcipniejszych spośród znanych mi książek ostatniego dziesięciolecia. Przyjrzyjmy się tylko wędrówce Croisset'a. Autor-literat, piękna i czuła dusza wybiera się bez elementarnych wiadomości z zakresu geografji w podróż na Cejlon i do Indyj. Ma plikę zaproszeń, pełne kufry, ale zapomina o mapie. Z tem wszystkiem jest naprawdę rozbrajający. Ten drugi, artystyczna trouvaille autora, Hollicot, młodszy brat bohaterów Maurois, porucznik, Anglik, jest naiwny, szczery, lojalny, a bezradność Croisset'a budzi w nim instynkty opiekuńcze i poczucie odpowiedzialności. Obarczony wiadomościami i cyframi, tyczącemi się kraju, w którym pełni służbę, usiłuje uzupełnić lukę w wychowaniu nowego przyjaciela. Stąd co krok nieporozumienia i czarujące, pełne komizmu sytuacje; tembardziej, że obaj młodzi ludzie wychodzą w rozumowaniu z odmiennego założenia.

Hollicot opowiada łamaną francuszczyzną o dwóch oficerach-sportsmenach. Codziennie trenują rzucając do siebie z wysokości 1-go piętra małem dzieckiem.

— A jeśli — pyta przezorny Croisset — któregoś dnia jeden z nich chybi i dziecko upadnie?

— To niemożliwe — woła gwałtownie Anglik — mały jest synem pułkownika. Żaden z oficerów nie wziąłby na siebie takiej odpowiedzialności.

Czytelnik razem z autorem wybucha śmiechem, ale naraz cichnie. Bo czy naprawdę odpowiedź porucznika jest śmieszna? Konieczność uzasadnienia faktu, że gentlemen nie podjąłby się czynu, którego nie może dokonać — nie przychodzi mu nawet na myśl. Rozumie się to samo przez się. Jeżeli rzucają, to napewno nie chybią!

Z takich to okoliczności — z tak pomyślanych książek, wyłania się coraz pewniejsza i dokładniejsza sylweta Anglika. Być może, że Morand ma słuszność, być może, że młody człowiek z epoki wojny, ten który zdał swój egzamin dojrzałości na polu bitwy, należy do przeszłości. Tem większa szkoda, tem większa zasługa Maurois i Croisset'a, że go uwiecznili w swych książkach.

Spójrzmy na niego, nim zniknie równie gwałtownie, jak wszedł (z przyjaznem „hallo" na ustach) w progi powieści francuskiej. Oto przynosi ze swych morskich podróży posmak soli, zapach szkockich wrzosowisk, przemierzonych bez końca na grzbiecie konia, echo triumfalnego hallali i zawrotnego pościgu za lisem. I mimowoli pisarz francuski doznaje wzruszenia pomieszanego z podziwem. Spójrzcie — mówi — oto ten, który ośmiela się jeszcze aspirować do szczęścia. Wychowano go w miłości kraju, pogardzie dla niebezpieczeństwa, szacunku dla fair play. Podobny jest dzieciom wojowników perskich, które uczono jeździć konno, strzelać i mówić prawdę. Akrobację umysłową ma za cel sam w sobie. W życiu kieruje się naturalnym popędem — ceni przywileje i obowiązki swej klasy. Męstwo ma nie za cnotę, lecz czynnik dobrego wychowania. Szalony o tyle, o ile Anglja jest poważna. Sentymentalny, więc objawy uczucia ma w pogardzie. Kocha wieś, sport i swe psy. Zakorzeniony, wrośnięty w przeszłość kraju, niezawodny, niezdolny do zdrady i nienawiści. Nie zawiedzie się nikt na jego przyjaźni. Wznieśmy zatem trzykrotny okrzyk na cześć angielskiego gentlemana:

— Hurra! hurra! hurra!

— Panowie — odpowiada wzruszony Anglik ze współczesnej powieści — dziękuję wam, nie wiedziałem, że macie do mnie tyle sympatji.

— My też — przyznaje się ze skruchą Francuz.

[1]) Londres. P. Morand. Plon. 1933.

[2]) Francis de Croisset. La féerie singhalaise. Grasset. 1926. Nous avons fait un beau voyage. Grasset. 1930.

Świeżo ukazała się z druku książka
Stanisława Piaseckiego
Prosto z mostu
Zbiór szkiców literackich, podzielony na trzy części: „Dzisiejszość literacka", „Pion" i „Walki". Tytuły poszczególnych rozdziałów: Narodziny nowego stylu. — Wielka krzywda. — Tak się mówi, ale tak się nie pisze. — O roku ów. — Mocny człowiek. — Teraźniejszość w historji. — Epopeja rodziny Niechciców. — O „Zazdrości i medycynie". — Ikkos i Sotion. — Goetel o Indjach. — Powrót do rzeczywistości. — Bonzownictwo. — Poezja marki: Staff. — Mecenas Skiwski. — Tuzie maszerują. — Szpila w Zielony Balonik. — Nowy wspaniały świat. — Wiemy, że nic nie wiemy. Od Acharda do... Hitlera. — Od uniwersalizmu do imperjalizmu. — Na chłopski rozum. — Dziadowanie. — Dołoj uczonyje. — Bój o Styków. — Inflacja książki. — Tajemnica śmierci Mickiewicza. — Sensacja trucicielska. — Ochotnik Levy. — Martwa nagroda. — Sprawy przyziemne.
Cena zł. 3.— Nakład „Roju"